

Język, który dziecko pożycza, żeby przeżyć

Na początku nie ma „ja”.

Jest zależność.

Jest ciało.

Jest pole, które oddycha dorosłymi.

Dziecko przychodzi bez własnego języka — nie w sensie słów, tylko w sensie mapy. Nie ma jeszcze alfabetu na strach, na wstyd, na samotność, na pragnienie bycia widzianym.

Nie ma pojęć, które pozwoliłyby powiedzieć: „tęsknię”, „gubię się”, „jest mi za ciasno”, „boję się, że mnie nie ma”.

Ma natomiast jedną genialną umiejętność: **czyta, co w tym domu jest słyszalne**.

Czy słyszalne jest wzruszenie, czy tylko wynik.

Czy słyszalna jest prośba, czy tylko objaw.

Czy słyszalny jest płacz, czy dopiero choroba.

Czy słyszalne jest „nie wiem”, czy dopiero dramat.

I wtedy dzieje się coś, co później nazywa się „trudnym zachowaniem”, a w istocie jest próbą kontaktu: dziecko zaczyna mówić sobą językiem, który w tym domu ma największą szansę zostać rozpoznany.

Nie dlatego, że manipuluje.

Dlatego, że **nie ma innego kanału**.

Serce narysowane kamieniem

Najtrudniej ludziom zobaczyć ten moment:

kiedy dziecko rysuje serduszko kamieniem na nowym samochodzie.

Dorosły widzi lakier, koszt, stratę, brak szacunku.

Dorosły widzi naruszenie granic.

Dziecko widzi coś innego: **powierzchnię, na której da się zostawić ślad**.

Samochód jest „twoim czymś”. A więc jest częścią relacji.

Jest wielkim, twardym przedmiotem, który ma znaczenie

— i to znaczenie dziecko czuje całym ciałem.

Jeśli nie ma drogi przez oczy, przez głos, przez wspólny rytm, napięcie nie znika.

Ono szuka ujścia. Szuka miejsca, gdzie zostanie zauważone.

Kamień jest narzędziem.

Lakier jest tablicą.

Serce jest słowem, na które dziecko ma dostęp.

To nie jest akt niszczenia, tylko akt mówienia.

Nie „chcę cię zranić”,

tylko: **„nie umiem dotrzeć inaczej”**.

Nie „jestem niegrzeczne”,

tylko: **„czegoś tu brakuje, a ja nie mam języka na brak”**.

I wtedy dzieje się rozstrzygnięcie, które dzieli dorosłych na dwa światy:

- świat, w którym trzeba ukarać, bo „zrobiono źle”,
- i świat, w którym trzeba czytać, bo „coś próbuje przejść”.

To jest odpowiedzialność bez winy.

Nie „moja wina”.

Tylko: **moja odpowiedź**.

Dziecko mówi językiem rodzica

Są sytuacje jeszcze ostrzejsze, bo dotyczą tego, co najbardziej „poważne” w domu.

I tam widać mechanizm jak pod lampą: dziecko wybiera taki kanał, który rodzic potrafi rozpoznać najszybciej

— bo w nim ma tożsamość, kompetencję, pewność, poczucie sensu.

Do gabinetu przychodzi zawodowa terapeutka.

Specjalizuje się w tożsamości płci u nastolatków.

Przychodzi z dwunastoletnią córką.

Córka mówi: „nie wiem, czy jestem chłopakiem, czy dziewczyną”.

To zdanie jest realne. Ono nie jest „wymyślone” tylko po to, żeby kogoś poruszyć.

Ono jest czymś doświadczeniem.

I właśnie dlatego trzeba je traktować poważnie — z czułością i uważnością.

A jednocześnie w tym polu widać drugą warstwę:

dziecko mówi w języku, który w tym domu ma wagę.

Woła do matki alfabetem,

którym matka na co dzień rozpoznaje cierpienie innych.

Jakby mówiło:

„Mamo, spójrz na mnie tak, jak patrzysz na swoich pacjentów.

Ja też chcę być widziana w tym języku, który rozumiesz.”

Nie jako trik. Nie jako prośba o uwagę. Nie wołanie o akceptację.

Jako poszukiwanie drożności.

Bo jeśli dom ma swój dominujący dialekt

— psychologiczny, medyczny, zadaniowy, duchowy, sportowy

— dziecko uczy się, że tym dialektem najłatwiej wywołać odpowiedź.

Nie dlatego, że jest cyniczne. Tylko dlatego, że jest zależne.

I zależność uczy ekonomii: mówić tak, żeby zostać usłyszanym.

Organizm jako list w domu lekarzy

Drugi przykład jest jeszcze bardziej bezlitosny, bo dotyka granicy.

Szesnastolatek czterokrotnie próbował odebrać sobie życie.

Na co dzień fizycznie choruje. Jego rodzice są lekarzami.

To jest punkt, w którym nie ma już miejsca na „wychowanie” ani „dyscyplinę”.

Tu trzeba widzieć, że ciało i życie chłopaka stały się językiem

— bo inne języki nie zadziałały.

W domu, gdzie wszystko czyta się przez pryzmat objawu, diagnozy, parametrów, reakcji na zagrożenie — dziecko może nieświadomie dojść do wniosku:

dopiero wtedy jesteśmy razem, kiedy jest stan nagły.

Dopiero wtedy uwaga się skupia. Dopiero wtedy dom zbiera się w jedno.

Nie jest to oskarżenie rodziców. To jest opis mechanizmu pola.

Chłopak „wypracowuje” przez lata taki sposób reakcji,

który jest adekwatny do tego, co w tym domu jest najważniejsze.

Jeśli językiem miłości jest troska medyczna

— ciało staje się miejscem, w którym można ją wywołać.

Jeśli językiem obecności jest interwencja

— życie zaczyna mówić interwencją.

To jest dramat, który nie jest teatralny.

To jest list pisany krwią, bo nie było papieru.

I właśnie dlatego tak bardzo potrzeba tu odróżnienia:

nie „co jest z nim nie tak”, tylko: **co to życie próbuje powiedzieć, zanim zgaśnie.**

Pierwszy alfabet nie znika

Język, którym mówiono do człowieka, zanim miał własny, nie znika.

On nie zostaje w przeszłości.

On zamieszkuje ciało.

Dlatego w momentach granicznych — gdy coś się wali, gdy pojawia się lęk, gdy trzeba wybrać bez mapy — wraca pierwotny alfabet:

„muszę”, „powinienem”, „tak trzeba”, „nie rób problemów”,

„bądź normalny”, „weź się w garść”.

Człowiek często myśli wtedy, że to jego rozsądek.

A to bywa echo.

I są ludzie, którzy całe życie odpowiadają na zdania, których nikt już nie wypowiada. Starają się „w końcu zasłużyć”, „w końcu nie przeszkadzać”, „w końcu być tacy, jak trzeba”.

Nie zauważając, że wciąż są w rozmowie, która dawno się skończyła.

A dzieci — zanim dorosną — robią coś jeszcze bardziej bezpośredniego: one nie odpowiadają słowami.

One odpowiadają sobą. Bo to jest jedyny alfabet, który mają w dłoniach.

Kamieniem na lakierze.

Pytaniem o tożsamość w języku domu.

Ciałem, które choruje w rodzinie, która umie czytać chorobę.

Krzykiem, snem, ruchem, zamarciem, buntem.

Miejsce, gdzie zaczyna się zmiana

Zmiana nie zaczyna się od nowej teorii.

Zaczyna się od pauzy.

Od chwili, gdy dorosły przestaje pytać:

„kto zawinił i co z tym zrobić”,

a zaczyna pytać:

„co zostało mi pokazane — językiem, który nie jest moim językiem”.

To jest moment, w którym nie ma jeszcze wolności.

Jest coś cenniejszego: rozróżnienie.

A tam, gdzie pojawia się rozróżnienie, pojawia się możliwość:

dziecko nie musi już pisać kamieniem.

Nie musi już szukać najostrejszego kanału. Może dostać prostszy.

Nie „idealny”.

Drożny.

Bo dziecko nie potrzebuje perfekcyjnych rodziców.

Potrzebuje rodziców, którzy umieją usłyszeć,

że ono mówi — nawet kiedy jeszcze nie ma słów.

Można by to domknąć właśnie tak

— gestem, który nie jest „metodą wychowawczą”, tylko zmianą alfabetu.

Bo kiedy dziecko rysuje serce kamieniem, ono nie prosi o lakier.

Ono prosi o odpowiedź.

I wyobraź sobie, że rodzic nie biegnie od razu do lakiernika.

Nie uruchamia automatu: szkoda–wina–kara–naprawa.

Tylko na chwilę klęka przy tej rysie, jakby klękał przy liście.

Wyciąga kamień.

I obok tego pierwszego serca — dorysowuje drugie.

Nie po to, żeby „nagradzać zniszczenie”.

Nie po to, żeby udawać, że lakier się nie liczy.

Tylko po to, żeby powiedzieć najprostszą rzecz w języku dziecka:

widzę cię.

odpowiadam.

jestem w tej relacji, a nie przeciwko niej.

To jest moment, w którym świat dziecka przestaje być sądem,

a staje się dialogiem.

A potem oczywiście można iść do lakiernika.

Można naprawić.

Można ustalić granice.

Tylko że wtedy granice nie są karą za „przestępstwo”,

tylko ramą dla kontaktu.

I być może to jest najkrótsza definicja tego fragmentu:

dziecko nie ma własnego języka — więc mówi tym, co w domu ma wagę.

A dorośli, jeśli chce naprawdę wychowywać, nie zaczyna od naprawiania świata,

tylko od nauczania się odpowiedzi w tym samym alfabecie.

Bo czasem jedno dorysowane serce robi więcej niż cały lakier.

Nie dlatego, że naprawia samochód.

Tylko dlatego, że naprawia kanał.

Arytmia życia. Logika paradoksu. Sztuka Zgody – Robert Frey

www.psychosomatologia.pl